6 stron z dodatkiem
„ŻYCIE KRAJU"

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Cena 1/6

ROK VII. Nr 27/315

LONDYN, 5 LIPCA 1953 R.

KS. JÓZEF JARZĘBOWSKI

TOWARZYSZ SPOD ZNAKU NORWIDA

**„Dla zabawki nie szuka się grobu
Gdzieś na kręgu przeciwległym
globu."**
Norwid

W zimową noc 8 grudnia 1952 na szpitalnym łóżku w Penley, otoczony kilkoma przyjaznymi duszami spośród lekarzy i chorych, umarł ś. p. mecenas Jerzy Dołęga-Kowalewski.

Ubył z szeregów emigracji naszej znów jeden „z tych Polaków, co są piękni" wewnętrzną kulturą i treścią życia. Ubył człowiek, co ujmował rzewną pogodą i czarującą dobrocią wszystkich, z którymi się zetknął.

Myśliciel i pisarz wykwintny — w normalnych warunkach w kraju zajmowałby wybitne stanowisko. Zesłaniec, więzień i skazaniec NKWD — w życiu emigracyjnym starał się trwać w najbardziej szarym szeregu, jako współbrat pracy i doli ludzi prostych. Poezja jego, to psychologiczny pamiętnik, omal mistyczna fotografia — tego wszystkiego, co się w duszy polskiej działo w latach klęski i emigracji. Jest w niej ból, gorycz, duma i zaduma, ale jest i żywa wiara, świecąca w mroku dni dzisiejszych.

Dlatego poezja Kowalewskiego związana będzie na zawsze z literaturą tej nie Wielkiej wprawdzie, ale największej naszej emigracji. Kontakty z muzą miał mecenas Kowalewski jeszcze przed wojną. Był członkiem Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych. Ale dopiero najcięższe lata życia: Sybir, Afryka i Anglia nadały jego poezji właściwy ton, gdzie w słowie bardzo oszczędnym a żywym odzwierciedliła się dusza zbiorowa „synów klęski" i niepoprawnych romantyków idących wbrew faktom.

Rad jestem z wami pomówić,
posmucić się i uśmiechnąć.
Biadacie: tułacze troski.
Niech będą. Byle nie — niechęć.
Byle nie w czarną rozpacz
zmieniane najkrwistsze życie,
gospodarskie, gazdowskie,
chłopskie — coś z Kasprowicza.
Zacięte. Z ojca na syna
nauka zdrowego sensu,
i żartu odrobina
nawet w pogromie i klęsce.
(Najprościej).

Czytywało się wiersze Kowalewskiego jak dobre listy od brata. Temu wszystkiemu, co się znało i czuło, dawał on wyraz, wypowiedź prześwietloną sercem szczerze chrześcijańskim i instynktem odwiecznie polskim, artyzmem o skali szerokiej, o męskiej uczuciowości, wyzbytej z łatwego patosu, ze spowszechniałego frazesu. Był on tłumaczem tej wielkiej miłości, co umie cierpieć i ginąć, co umie trwać i wierzyć, ale w wypowiedziach jest skąpa, mówiąc raczej monosylabą lub obrazem, aniżeli tyradą.

„...nieuleczalna miłość.
Z nią — żyć niełatwo, łatwiej ginąć"
(Duma o kondotierze).

Puściznę liryki Dołęgi-Kowalewskiego dałoby się ująć w trzy cykle. Cykl „Rosji zaznanej", cykl afrykański i cykl angielski z włączeniem liryk religijno-historiozoficznych.

Cykl „Rosji zaznanej", która wypuściła ze swych łagrów i kazamat Dołęgę-Kowalewskiego zniszczonego fizycznie, zbiedzonego tułacza bez ojczyzny — stanowią bolesne migawki, w skrócie podające koszmary przeżyte i krzywdy ogólnoludzkie i ogólnopolskie. A przecież ogólny osąd tej zaznanej aż po wyrok śmierci Rosji, po życiu złamanym i zdrowiu zrujnowanym — nie ma akcentu nienawiści czy zemsty. Raczej przeciwnie: ten osąd ma w sobie dojrzałość chrześcijańskiego przebaczenia, ma dalekosiężną miłość zaczerpniętą z krzyża i głębin serca:

Depcąca globus, wiem, żeś, Rosjo,
zdeptana sama. W zatraconych
kątach, kryjomo — przed ikoną
tlą się lampady. A więc prośmy
o zmiłowanie. Syn — Człowiek
nam oby miłosierny — Bóg
ma na powiece krew. Od ciernia.
Czekamy.
Czekamy, Rosjo, — uniesienia
Bożych powiek.

Czarny Ląd — to nowy i inny świat, jaki stanął po lodowej, mroźnej Syberii przed oczyma i myślą poety. Dla Afryki, dla czarnego brata-murzyna ma polski poeta wiele rzewnej sympatii, tkliwości omal, nie pozbawionej i szczypty humoru („Na królewskim dworze"). Ile subtelnego uczucia i barw egzotycznych mają zwrotki „Murzyńskiej kołysanki" (tłum. z Stelli Wood):

Śpij, maleńka słodyczy,
uleciały
białe ptaki w głąb lasów
już.
Zamilkły szare papugi,
niebieskie szpaki —
Zza wzgórz
zerka księżyc nieśmiały.
Śpij, maleńka słodyczy.

To wczucie się w duszę pierwotną czarnego brata brzmi jeszcze mocniej w modlitwie „Do hebanowej Madonny":

Klęknij
i mów do Czarnej Madonny:
—Pozdrowionaś, o Namasole.*)
Usłysz nas, o Namasole,
Matko smutnych,
Wydziedziczonych,
Śmiesznych,
Sieczonych w twarze...

Garść tej afrykańskiej poezji, to bodaj pierwsza szczera egzotyczna liryka w mowie polskiej o Czarnym Lądzie i Bracie.

Cykl angielski rozpoczyna ostry i gorzki — jedyny jaki znam — wiersz Dołęgi-Kowalewskiego, wyrosły na tle wszystkich zawiedzionych nadziei, gdy z Afryki wracało się do Europy — nie ku wyzwolonej Polsce, ale ku nowemu bytowaniu w barakach angielskich.

Koniec. Już Southampton. W
perspektywie Londyn.
Zdejmcie ze mnie ten Londyn.
Niech go nie oglądam!
A przeto:
w Melton Mowbray, w obozie pod
miastem.
W roku całkiem bezpańskim.
Włóczęg — jedenastym.

Mecenas-poeta, człowiek sterany i chory, nie pierwszej już młodości, stanął ze ścierką w ręku w pomywalni obozowej, by tak zakończyć karierę inteligenckiego życia. Uczynił to po prostu — z jakiegoś rosnącego franciszkańskiego poglądu na świat. Wstrętną mu się wydała pogoń i walka o stanowisko na brukach obcych miast. Uważał, że w sytuacji, jaką nam los wytworzył, polski inteligent zrezygnować musi z wielu słusznych czy niesłusznych wymagań. Wobec tego, co się stało, jest to naprawdę małoważne.

Bezpośredni kontakt z szarym człowiekiem, zbratanie się z nim nie przez frazes, ale w pracy, jest to budowa u podstaw, u podwalin nowego domu Ojczyzny.

Zresztą:

Tak samo konał Goethe, jak
chłop, który ciężko
Podcyfrował krzyżykiem fakt,
że był i istniał. —
Przeprowadź znak równania
— faustowej klęski
Z bełkotaną wieścią w nieporadnym
liście
I podstaw zamiast Niobe
skłonionej nad dziatwą,
Broniącą swoje małe matkę -
kuropatwę —
A wtedy — słońce Umbrii
złotą falą chluśnie,
Ulecisz nań porwany od
lepianki proga,
Wtopiony w ciepło iskier —
współczujący uśmiech,
Zadatek miłosierdzia żyjącego
Boga.

Poezja Dołęgi-Kowalewskiego pisywana w późne godziny po powrocie z kuchni do hostelowej izby, staje się coraz bardziej refleksyjna: pierwiastek religijno-filozoficzny, jakieś mądre, dogłębne spojrzenie w duszę, w Boga i świat, jakaś męska słodycz i dobroć stanowi treść tych ostatnich liryk.

Z drugiej strony poeta wkracza w świat wspomnień. Są to wspomnienia ludzi i miejsc z własnego życia. Są to wizyjne, zwarte i mocne liryki epickie: „Św. Joanna d'Arc", „Cień" (wiersz o Traugucie), „Słowacki".

W kreśleniu tych sylwetek Jerzy Dołęga-Kowalewski wykazuje niebywałą maestrię. Kilku słowami, jakby rzutami pędzla, daje wyrazistą scenę, portret, a wszystko to zamienia w jakąś mistyczną atmosferę symbolu czy widzenia.

Joanno!
Ciężka zbroja,
hetmański miecz.
Już ci ich nie odłożyć,
nie zrzucić ze siebie.
Odśnił się pokój w niebie,
w zachwytach oglądany...
Joanno!
Dobywasz miecz
w Imię Najświętszej Panny,
Opiekunki wszego stworzenia,
Powierniczki bied naszych...
Naprzód!
Siecz!!...

*) W języku plemienia Bagunda znaczy dosłownie „Królowa-Matka".

Traugutt staje przed komisją śledczą na Pawiaku.

„Budiet słuszat'sia
dieło aficiera
armii rasijskoj —
Traugutta.
Wy?"

Tak, to ja
jestem
zaszeleściało w ciszy.
Nieśpiesznie. Rzeczowo.
Bez szczypty afektacji,
ledwo znacznym gestem
poparte przytaknięciem,
Cztery polskie słowa
naładowane treścią.
Ława i żandarmi
i sąd i portret władcy
zmalały od razu
do rzeczy drugorzędnej,
szczegółu obrazu.
Wstał KTOŚ...

* * *

Pozwoliliśmy sobie nazwać Jerzego Dołęgę-Kowalewskiego „towarzyszem spod chorągwi Norwida". Sądzimy, że to nie jest przesada. Kowalewski, jak wielu poetów Polski niepodległej, miał kult i rozumienie wielkiego samotnika. Jego słowa z „Dumy o kondotierze" można by dostosować do samego autora:

Spoglądasz oto okiem strzelistym
Szopena okiem. Oto masz
tragiczną Norwidową twarz
w tym Polonezie uroczystym.

Ślepym naśladowcą Norwida przecie nie był. Odnalazł swoją własną drogę, wyraz, myśl. Ale niewątpliwie w poezji jego grają norwidowskie dźwięki. Podobnie jak Korwin Małaczewski w pierwszej światowej wojnie, ma i Dołęga-Kowalewski jakoweś pobratymstwo, jakiś indygenat z norwidowskiej „szlachty Chrystusowej", w pracy ducha przez miłość i cierpienie.

Ma, jak Norwid, formę płynną, nie dającą się wgnieść w ustalone formy, grającą własnym rytmem. Ma słowo bogate w treść i plastykę. Świecące jakimś mistycznym blaskiem symbolu. Jak u Norwida, tak i u Kowalewskiego rzecz drobna i zwykła prześwietla się nagle i rozżarza, jak kropla rosy w słońcu. Jędrność słowa i plastyka obrazu idzie w parze z głębią myśli. Nie ma w poezji Dołęgi-Kowalewskiego łatwizny „malinowo-kalinowych zaśpiewów". Myśl sięga po rzeczy trudne. Tchnie bezwzględną szczerością. Miłość Boga pokorna i strzelista, jak łuk gotyckiej katedry. Cześć dla poświęcenia, dla pracy, dla szarych wartości niedostrzegalnych dla świata, a które Bóg rozsiewa po wielkich i gwarnych gościńcach.

Nie ma Dołęga-Kowalewski norwidowskiego egotyzmu, nie pozwala unieść się rozgoryczeniu wobec ludzi czy świata. Ci dwaj ludzie, różni epoką i charakterem, byli niesieni jednaką burzą wydarzeń; wyrzuceni poza burtę ojczyzny, zalewani falą, chwytali się krzyża, umierali wreszcie na obcej ziemi, na szpitalnym łóżku, by znaleźć grób wśród mogił współtułaczy w oczekiwaniu zmartwychwstania.

Obaj wreszcie wierzyli w piękno, jako w odblask Boży, jako w błogosławieństwo ludzkiego znoju.

Stwierdzając to wszystko, nie czynimy znaku równania. Stwierdzamy pokrewieństwo ducha i pracy w duchu. Przynależność do wspólnej chorągwi i wiary tych krzyżowców pióra, kontynuujących służbę polskiego słowa dla Boga.

Tak jak dla Norwida, i dla Kowalewskiego twórczość religijna była potrzebą duszy. Nie stworzył Dołęga wprawdzie jakiegoś poematu religijnego na miarę norwidowskiej „Litanii do Najświętszej Marii Panny". Ale garść jego liryk religijnych ma w sobie akcenty żywej wiary, wielkiej bezpośredniości i pokornej czci dla Boga, jak dziecka dla ojca.

Głośnym i często przedrukowywanym stał się wiersz „Matka Boska Piekarska" — tak bliska i tak ludzko dzieląca nasze nieszczęścia. Ta skromna majolika dziwnym trafem ocalała z całej fortuny i przeszłości poety. Przebrnęła przez Sybiry i granice. Stała się jedyną pamiątką, omal ryngrafem rodzinnym.

Mniej znany a przecież jakże silny w wyrazie jest wiersz pod tytułem „Kasiarze":

Włamujemy się po zdobycz —
kasiarze chytrzy —
do kasy ogniotrwałej
na Twoim Bożym strychu.
Mamy najrozmaitsze,
precyzyjne, najcichsze —
ogólna opinia — doskonałe
wytrychy.

Zubożylibyśmy Cię, gdyby nie to
że tak się (Twoja mądrość...)
złożyło:
wiesz z kim masz do czynienia,
więc cały swój dobytek
trzymasz pod gwiazd poduchą...

Znajdujemy w kasie — okruchy,
stare kwity,
sparciałe akcje
firmy „Mundus i Spółka" —

I drżącymi rękami
szukamy dalej
uparcie, zażarcie,
skarbu —
na zakurzonych półkach.

Ta sama tragedia ludzkiej ślepej nieudolności w stosunkach z Bogiem jawi się w wierszu „On", kiedy to:

Do miasteczka Emmaus
idą —
idą —
idą —
Kleofasi i Symeoni
przerażeni, biedni, bezbronni,
Ciągle.
Zawsze.

Ubogą polską lirykę poświęconą papiestwu wzbogacił Dołęga-Kowalewski, jakby odpowiednikiem norwidowskiej „Encykliki oblężonego", wierszem „Tu es Petrus":

Dźwigasz — okrutne
brzemię nasze. Wszystko. Słowo.
Czyny i nieczynienie.
Wokoło i w nas.
W alchemicznej retorcie
rozkładasz w atomy
widziane precyzyjnie:
Potęgę i Czas.
...Twa lampa w watykańskiej celi
Latarnia, świeci długo
w północ i za północ,
kolebie się po wodach
wiosłaną oskrzelą,
Ucieczką dla tonących —
Twe rybackie czółno.

— — — — — — —

A wśród wielu naszych katolickich poetów (a może nawet i nie tylko naszych) Dołęga-Kowalewski zareagował na tragizm Kościoła w brutalnym procesie kardynała Mindszenty:

Należy, by i Polak swe
modlitwy wpisał
do Księgi Przymierz,
Węgrze, Rzymski Kardynale,
CZŁOWIEKU.

— — — — — — —

Skułeś swe losy z
naszym. Więc polskie pacierze
milionoustne — fruną:
za ciało dręczone
i duszę Twą. OJCZE
NASZ. I ZDROWAŚ. I WIERZĘ.
Jednakie dla prostaka,
jak Księcia Kościoła.

* * *

W październiku 1952 odwiedził mnie pewnej niedzieli ś. p. mecenas Kowalewski. Znać było, że mimo operacji i kuracji latem odbytej w Penley, choroba trawi ten niespożyty organizm. Nie łudził się. Rozmawiał spokojnie i serio — jakby przed zamknięciem księgi rachunkowej. Wkrótce dowiedziałem się, że choroba wybuchła ze zdwojoną siłą i drogi sercu przyjaciel leży znów w stanie ciężkim na szpitalnym łóżku w Penley.

W ostatnich dniach listopada zjawiłem się u łoża bardzo już zmęczonego chorobą poety. Czułem się w obowiązku, by ułatwić mu zakończenie ostatniej zwrotki poematu życia — pieśnią dla Boga.

Przyjął mnie z przyjacielskim wylaniem. Mimo cierpień sławił dobroć serc ludzkich, jakiej doznaje od nieznanych sobie i w szpitalu odnalezionych przyjaciół. Z właściwą bezpośredniością, jako rzecz potrzebną i naturalną, przyjął Sakramenta św. Duch zdawał się brać górę nad umęczonym ciałem. Chory spokojnie, z pogodą rozmawiał o sprawach zwykłych, o swym drukowanym (nareszcie!) tomiku. Błogosławił z ojcowską czułością najmłodszego synka, który ze mną przybył.

Począłem się wahać, czy istotnie stan chorego jest aż tak ciężki?... Ale to tylko silny duch owładał raz po raz osuwające się znużone ciało.

Odchodził spokojnie i po rycersku, potomek tych, co oddawali przed wiekami życie: za Krzyż i za Sztandar.

Czasy się zmieniły.

Bojowanie się zmieniło, zestokrotniało tylko w okrucieństwie, w wymogu ofiary.

Pozostała służba: za Krzyż i Sztandar.

Służba Pięknu, które jest nieśmiertelnym odblaskiem Boga:

...bo Piękno nie umiera.
Powraca Bożym ziarnem
ze śpichrzy w niebie.
Spada. Wzrasta radosnym kłosem.
Mijają tysiąclecia. O
nowiu srebrna Panna
seledynowym sierpem
kłosy dojrzałe kosi.
...bo Piękno chce spełnienia. Uparty siew nie uśnie,
walczy z glebą oporną
pod bokiem gospodarza,
oplata wieńcem kłosów
bieg chaotycznych zdarzeń,
zadumę nagłej chwili,
dobry człowieczy uśmiech.

I cóż, że Nów nad czołem?
Że w nazbyt szumnym tłumie
tak trudno znaleźć
swoich, jak w nieznajomym lesie.
Stali się wszyscy —
swoi, gdy wszystko się zrozumie
i trzeba własnym Pięknem ten biedny świat rozgrzeszyć.
(Madrygał dla siwej damy).

Takiemu sztandarowi służył życiem, pracą i śmiercią towarzysz spod znaku Norwida, ś. p. Jerzy Dołęga-Kowalewski.

Ks. Józef Jarzębowski

OBRACHUNEK OSTATECZNY

Wierzę, że jesteś jedyną prawdą. Boską i zbawczą. Nie tylko wierzę w to, ale i r o z u m i e m j a k o o c z y w i s t e.

Wszystko, co ludzie przed Tobą i po Tobie wymyślili i jeszcze wymyślą lub odkryją, ma się do Twojej prawdy, jak ziarnko piasku do góry Mont Blanc.

W ten sposób Łaska wiary przyszła do mnie w postaci najzimniejszego, najobiektywniejszego i ścisłego dojrzenia oczywistości. Pokłon Ci za to.

Próbowałem tę oczywistość z jej konsekwencjami — Ty wiesz o tym — ominąć, zapomnieć albo i przekroczyć. Nie było jednak ani jednej chwili w moim życiu, abym nie pojmował, że czyniąc tak, czynię źle. Drugi pokłon Ci za to.

Trzeci hołd ma swoje uzasadnienie w przeświadczeniu, że najlepiej Cię wielbić — znaczy n a ś l a d o w a ć. Czynnie, aż do śmierci, przez miłość, współczucie, cierpienie i samą śmierć. Jest ona po to nam sądzona, abyśmy połączyli się z Tobą, któryś sam przez śmierć przeszedł.

Usiłowania nasze naśladowania Cię jakże są często nieudolne, niezgrabne, obciążone dziedzictwem grzechu pierworodnego, nieraz bezduszne i formalne.

Takie były i te moje — aby jak najtańszym kosztem. Zastanawiam się, czy nie weszła u mnie w zwyczaj zbytnia ufność w miłosierdzie Boże, jeden z ciężkich grzechów. Osądzisz, w jakim stopniu winien jej jestem.

Drugą winą, z której sprawę zdać będę musiał, było zbyt harde, niesłuszne mniemanie, że stosunek mój do Boga ogranicza się do dwóch osób — Boga i mnie.

„Mój" Bóg, — kiedy przecie On jest, w myśl tego, coś kazał mówić, n a s z y m Bogiem, Ojcem i Bogiem. Ma za cel powszechność — Królestwo Boże na ziemi. Za toś skonał na krzyżu.

Wierzę w to, że to Królestwo przyjdzie, ale jakże mało starałem się przyczynić do zbliżenia tej chwili!

Cóż położę, o Panie, na przeciwnej stronie wagi?

Sięgam do pierwotnej wiary moich lat dziecięcych i powtarzam — odpuść mi moje winy, zmiłuj się, zmiłuj się nade mną!

A Ty, Matko Najświętsza, bądź mi Obrończynią i Orędowniczką.

Penley, w lipcu 1952, w godzinie
najtrudniejszej.

JERZY DOŁĘGA KOWALEWSKI

DEO IUVANTE

Gdy ludzie odwracają oczy,
wprost w oczy patrzy Bóg.
Bóg trędowatych, liszajowatych,
żebraków, głupków, wodogłowych,
beznogich — —

Bóg tych, co między „ja" a Bogiem
nie mają nic prócz a m e n —
dojmującego słowa,
zdartego z owrzodzonych ust,
wsnutego w ślizg kikutów,
i — „zmiłuj się nad nami",
aż do ostatniej minuty
rozpaczy.

Gdy ludzie odwracają oczy
Bóg —
przygląda się baczniej.

Bóg bezradnych,
zbędnych, niepotrzebnych nikomu,
nie wiedzących, co to giełda i sprzedaż
niepraktycznych,
wstydzących się czegoś „nie dać",
nieprawdy nienauczonych,
ignorantów nabożnych tekstów — —

Bóg zdradzonych
i w niewolę pognanych
bez niczyjego protestu.

Bóg zgadujący klęski
i zatajone tragiczne
łzy po kątach — —

Ten w przydrożnej kapliczce
naiwnie rzeźbiony świątek —
Jezusek Nazareński.

Jerzy Dołęga-Kowalewski

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Wychowanie bez religii jest niezgodne z rozumem. Przemawiając na zakończenie roku szkolnego we franciszkańskim uniwersytecie św. Bonawentury, arcybiskup Bostonu, Ryszard Cushing napiętnował ateistyczne i sekularystyczne wychowanie młodego pokolenia jako sprzeczne z powszechnym dobrem społeczeństwa i państwa. Amerykańscy sekularyści rzekomo dla dobra demokracji i rozdziału Kościoła od państwa usiłują usuwać religię ze szkół. Arcybiskup stwierdził, że „wychowanie bez religii jest niezgodne z rozumem i wielce niebezpieczne dla ogólnego dobra". „Wychowanie zdąża do harmonijnego rozwoju wszystkich przymiotów i władz człowieka oraz przygotowuje go do najwyższych ideałów życia" — powiedział arcybiskup. — „Wobec tego wychowanie bez religii jest niekompletne, gdyż zaniedbuje stronę duchową. Ignorowanie religii powoduje szybki upadek moralności. Demokracje żyją i rozwijają się dzięki cnotom obywatelskim. Moralność jest największym przymiotem dobrego obywatela."

Procesy beatyfikacyjne Polaków. Zgromadzenie księży marianów, którego przełożonym generalnym jest obecnie ks. Władysław Mroczek, czyni starania o wznowienie i kontynuowanie procesów beatyfikacyjnych dwóch swoich członków, mianowicie: Sługi Bożego, Stanisława od Jezusa i Marii Papczyńskiego (1631-1701), założyciela zgromadzenia oraz Sługi Bożego, Kazimierza od św. Józefa Wyszyńskiego. Ten ostatni w latach 1754/5 wprowadził marianów do Portugalii i tam w klasztorze Balsamao w diecezji Bragança zmarł w roku 1755 w opinii świętości. Procesy beatyfikacyjne obu Sług Bożych zostały szczęśliwie ukończone w drugiej połowie XVIII wieku. Ówczesna sytuacja polityczna w Polsce i Portugalii przerwała jednak ich dalszy ciąg. (IC)

Walka o duszę dziecka w Polsce. Dzieci w Polsce karmione są zręcznie podawaną ideologią marksistowską na każdym kroku — począwszy od żłóbków, przedszkoli i szkół, poprzez teatry lalkowe i t. zw. teatry młodego widza, filmy, książki i prasę. Wydawnictwo „Nasza Księgarnia" wypuszcza co roku kilkanaście milionów egzemplarzy książek komunistycznych i w setkach tysięcy egzemplarzy drukowane tygodniki dla dzieci („Płomyk", „Płomyczek", „Świerszczyk-Iskierki"), a dla najmłodszych propagandowe książki-obrazki pod ogólnym tytułem: „Poczytaj mi, mamo". (IC)

Katolicy korpusu dyplomatycznego w Rosji. Ks. Ludwik Brassard, który niedawno powrócił do Ameryki po trzyletnim pobycie w Rosji, miał pozwolenie od władz sowieckich na odprawianie nabożeństw dla 125 katolików, należących do korpusu dyplomatycznego 13 narodów, ale jedynie albo w swoim domu prywatnym albo w rezydencji ambasadora amerykańskiego. Ze 110 pracowników ambasady amerykańskiej w Moskwie 25 było praktykującymi katolikami. Policja badała pilnie wszystkich przybywających na nabożeństwa, celem uniemożliwienia obywatelom sowieckim wzięcia w nich udziału. „Jestem przekonany, powiedział ks. Brassard, że wielu Rosjan, a może większość narodu rosyjskiego, wierzy w Boga, i to jest największa nadzieja na przyszłość."

Uroczystości święto-stanisławowskie w Nairobi. Z okazji 700-lecia kanonizacji św. Stanisława Mszę św. w Nairobi odprawił rektor Polskiej Misji Katolickiej w Afryce Wschodniej, ks. kanonik W. Wargowski.

Walory ducha bazą jedności europejskiej. W Duesseldorf odbyło się zebranie katolickiej młodzieży europejskiej, w którym wzięli udział reprezentanci 12 krajów. Ze szczególnym aplauzem spotkało się przemówienie delegata holenderskiego, który powiedział m. in.: „Zjednoczenie europejskie byłoby największą gwarancją pokoju; ale Europy nie można ocalić tylko przymierzami i paktami, lecz przede wszystkim walorami duchowymi."

Sprawa Krzyża w godle państwowym polskim. Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na skutek starań Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w W. Brytanii sformułował projekt dekretu Prezydenta R. P. „o uwieńczenie godła państwowego znakiem Krzyża". Projekt ten, odczytany w dniu 6 czerwca na posiedzeniu Rady Narodowej, został skierowany do komisji prawniczej. Powyższy projekt jest uzasadniony w sposób następujący:

1. Krzyż jest symbolem cierpienia, ale i zmartwychwstania, toteż zaznaczy on w godle państwowym ustawiczne cierpienia naszej Ojczyzny i wiarę niespożytą narodu w jej siły odrodzeńcze, które do zmartwychwstania doprowadzą.

2. Naród, któremu ateistyczny reżym usiłuje odebrać wiarę w Boga, skupi się tym silniej przy swym godle państwowym, na którym widzieć będzie znak wiary.

3. Znak Krzyża jest drogowskazem miłości chrześcijańskiej, którą chcemy krzewić.

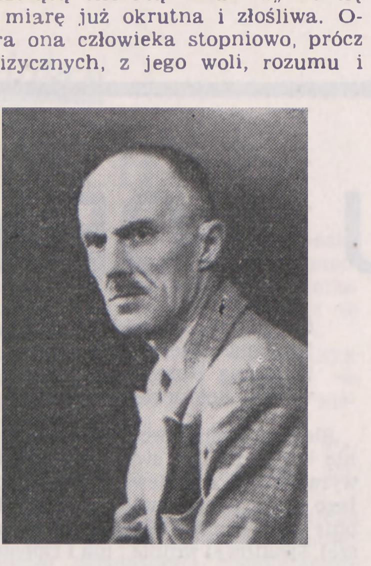
4. Znak Krzyża ozdobi koronę Orła Polskiego ku czci wszystkich synów Ojczyzny, którzy dla niej oddali lub oddadzą swe życie. — Uwieńczenie godła państwowego znakiem Krzyża odpowie z pewnością uczuciom większości Polaków i wzmocni jeszcze cześć, jaką jest i powinno być otaczane godło Rzeczypospolitej.

WIT TARNAWSKI

„JA CIĘ NIE STARGAM, NIE"

Śmierć, w tuziemskim jej wymiarze, jest niegodną sprawą. Potrafi złamać najdumniejszą postawę, wykrzywić najpiękniejszą twarz. Jej dzieło — tym straszliwsze, im powolniejsze — rozkrusza wszystko, co człowiek w życiu nagromadził, wypracował, czym się stał — i to nie tylko w dziedzinie dóbr materialnych.

Zwłaszcza śmierć poprzedzona długą i niszczącą chorobą musi wydać się nad miarę już okrutna i złośliwa. Odziera ona człowieka stopniowo, prócz sił fizycznych, z jego woli, rozumu i



nawet dobroci, zniekształca samą jego istotę — zostawiając w końcu jakąś zetlałą i litości godną resztę.

Jeżeli szukać racji i jakiegoś sensownego wytłumaczenia takiego ironicznego finału życia, to chyba w tym, że jest to młot do rozbicia pychy ludzkiej, narzędzie ostatecznego upokorzenia — zarówno dla tych co odchodzą, jak tych co zostają.

Ale jeśli spotkamy człowieka, który śmierć zwycięży, który nie da się połamać jej srogiemu kołu, nawet na łożu najcięższej choroby — wtedy duma człowieczeństwa dźwiga się w nas na nowo i ma prawo się podźwignąć.

8 grudnia 1952 zmarł w pokoiku szpitalnym po długim, nieuleczalnym chorowaniu Jerzy Dołęga-Kowalewski. Nie będę tu pisał o mądrym i subtelnym poecie, co odszedł od nas w jego osobie, ani o płomiennym mówcy, niegdyś postrachu sal sądowych. Chcę mówić o człowieku, który umiał umierać.

Widziałem — i daję świadectwo. Byłoby tylko połową prawdy o osobie, byłoby ukrywaniem najbardziej porywającego oblicza prawdy, gdyby ukazały się tylko poezje Dołęgi-Kowalewskiego, a nie zostało ujawnione, jak ich twórca odchodził z życia. Poznałem go przed niespełna rokiem, gdy przybył do szpitala, jeszcze pełen sił i energii życiowej — ale już z chorobą, która miała go potem zabić.

Pierwsze wrażenie było dziwne. Wiedziałem, kogo idę zobaczyć: poetę i znakomitego adwokata. Zastałem człowieka skromnego i na pierwszy rzut oka najzwyczajniejszego pod słońcem. Była w nim bowiem jakaś niezwykła prostota, która go z pozoru równała z ludźmi — by naraz, bez przejścia niemal, przeskoczyć w doskonałą ogładę, w porywający wdzięk, w płomień.

Porozumieliśmy się i polubili od razu. Gustowaliśmy w tych samych pisarzach, kochaliśmy te same sprawy. Za pierwszym widzeniem wpadliśmy w rozmowę o Conradzie, jak w studnię bez dna. Kiedyśmy się już lepiej poznali, Kowalewski zaczął opowiadać. Był to chyba najświetniejszy causeur, jakiego znałem w życiu. Swym głębokim głosem, wymowną twarzą, dosadnym gestem — z poetycką ostrością wizji i swadą adwokata — nadawał każdej opowiadanej sprawie skończony i fascynujący kształt. Wszystko, co opowiadał, pozostawało od razu w pamięci, jakby widziane własnymi oczyma.

Wreszcie zaczął mi dawać do czytania swoje poezje — te, które powstawały w szpitalu i napisane dawniej. Wyznaję, że zanim Kowalewskiego spotkałem, wiersze jego czytywane na łamach „Życia", „Wiadomości" czy „Kultury" wydawały mi się często trochę sztuczne, zbyt wymyślone i koturnowe zbyt wysoko mierzące ponad prostą prawdę życia. Rzecz zmieniła się zasadniczo, kiedy poznałem samego poetę. Przez człowieka wczułem się od razu w jego poezję, nic nie wydało mi się teraz w niej sztucznością — wszystko prawdą. Te górne i niezłomne, trochę norwidowskie a trochę don-kiszockie poematy wyrażały istotną treść jego ducha i były jej najwierniejszym kształtem. On sam przywodził czasami na myśl rycerza z La Manczy swą szczupłą, wysoką postacią, wychudzoną twarzą, gorejącymi oczyma — i podejmowaniem spraw z pozoru straconych.

I tak powoli zrastały się dla mnie w litą, jednorodną całość poezja i człowiek, życie i u jego końca śmierć.

Do szpitala przybył o wiele za późno. Zdawało się, że operacja dokonana zaraz po jego przybyciu, uratuje Kowalewskiego — przynajmniej na czas pewien. Istotnie zastałem go w następnym już dniu po operacji, pełnego życia i z pogodnym uśmiechem na ustach, jak gdyby szło o całkiem nieważny zabieg. Pozory jednak mylą. Co Kowalewski przeżył w tych godzinach, jak jasno zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa przeprawy, świadczy obrachunek wewnętrzny, napisany w „tę najtrudniejszą godzinę", a podany tutaj u czoła jego wierszy. Ale poeta wypłynął tym razem — jak mocna łódź — z topiącej fali. Śmierć jak gdyby rezygnowała z niego. Nie na długo.

Operacja, choć przyniosła na razie zdumiewającą poprawę, nie dała nawet takiego odetchnienia, które pozwoliłoby mu jeszcze ujrzeć wydany niedawno w Oficynie Poetów i Malarzy tomik jego poezji.

Tyle, że zdołał go przygotować do druku, w gorączkowym pośpiechu i w niezawodnym przeczuciu — widzę to teraz jasno — że nadchodzi koniec.

Wypisany po operacji ze szpitala, jeszcze z nadzieją, że udało się chorobę zatrzymać, wrócił po niespełna dwu miesiącach — starszy o lata, z wszystkimi oznakami ostrego nawrotu. Widać było od razu, że nie pożyje długo, choć staraliśmy się do końca ukrywać przed nim prawdę. On także niemal do końca brał uprzejmy udział w tej naszej grze na niby i przyjmował jako dobrą monetę rozmowy o przyszłości, choć wiedział równie dobrze jak lekarze, że przyszłość, jaka go czeka, znajduje się już po innej stronie.

Przywieziono go sanitarką, na noszach, z wszelkimi ostrożnościami, jak umierającego. Ale kiedy przyszedłem odwiedzić go następnego dnia, powitał mnie po staremu gradem pytań: co piszę, jakie przeczytałem książki — a potem, jak gdyby to nie był pokój szpitalny, lecz rozmowa towarzyska przy czarnej kawie, opowiedział od razu jedną z swych porywających gawęd, z niezmienioną swadą, z dawnym błyskiem wielkich czarnych oczu.

I tu zaczęło się zjawisko nie do pojęcia. Miał w sobie już tylko jedną piątą barwika krwi, potrzebnego do życia. Inni chorzy w tym stanie umierali lub tracili przytomność. Kowalewski żył, rozmawiał, myślał jak gdyby nic się nie zmieniło. Było to zupełne zwycięstwo ducha nad ciałem, zlekceważenie praw materii.

Można głęboko zadumać się nad źródłem tej siły, która pozwoliła poecie wytrwać bez załamania się w „godzinie najtrudniejszej". Czyż bowiem wystarczy najsilniejszemu nawet człowiekowi w takiej chwili oparcie się tylko o siebie?

Nigdy nie rozmawiałem z Kowalewskim na temat jego przeżyć i przekonań religijnych, jak zazwyczaj nie rozmawia się o sprawach bardzo osobistych. Myślę, że i tutaj najsłuszniej uczynię, nie wkraczając powszednim słowem w tę intymną dziedzinę, a tylko kierując wzrok czytelnika ku poezjom religijnym Kowalewskiego, przede wszystkim zaś ku wspomnianemu już „Obrachunkowi ostatecznemu", który żona wykryła wśród pośmiertnych papierów poety.

Tam można znaleźć wyjaśnienie postawy, która musiałaby wydać się ponadludzką, tam wykryć myśl przewodnią, która pozwoliła temu najdzielniejszemu z żołnierzy wytrwać bez lęku na straconym stanowisku.

Cierpiał bardzo. Poznawało się to po nieruchomej, niezmiennej postawie, w jakiej leżał całymi godzinami — jedynej, w jakiej jeszcze mógł wytrzymać. Ale przez wszystkie te dni nie usłyszałem z jego ust jednego jęku, jednej skargi. Raz tylko pochwyciłem skurcz bólu na twarzy, opanowany natychmiast — gdy ktoś przypadkiem potrącił brzeg jego łóżka.

Środków uśmierzających bóle brał niezwykle mało. Czytał tylko, wciąż czytał — starczyło mu to za narkotyk. Dopiero w ostatnich kilku dniach przed zgonem przestał czytać. Leżał z ręką podłożoną pod głową, w skurczonej postawie, właśnie w tej najmniej jeszcze bolesnej — i myślał. Dokoła drugiej ręki coraz częściej widywało się w tych dniach owinięty różaniec.

Na dzień przed śmiercią powiedział: „Już nie ma o czym myśleć".

Zrozumiałem, że to koniec. On, dla którego życie było nieprzerwanym ciągiem wizji i rozmyślań — musiał teraz umrzeć. Następnego dnia zamykaliśmy mu oczy.

Rzecz to bardzo rzadka, by poezja i życie, postawa poetycka i postawa życiowa pokrywały się w człowieku. Bywa raczej przeciwnie. Trzeba pogodzić się z faktem, że autorzy hymnów bojowych na ogół nie kwapią się sami na pole bitwy, a twórcy sławiący sens i piękno śmierci, drżą niegodnie na samo jej wspomnienie. Poeci są tylko ludźmi.

Lecz Jerzy Dołęga-Kowalewski umiał potwierdzić życiem i zgonem swoje poetyckie posłanie. Jak u Norwida — ukochanego mistrza — koniec jego życia mógłby powiedzieć początkowi:

„Ja cię nie stargam, nie — ja uwydatnię!"

Wit Tarnawski

JERZY DOŁĘGA KOWALEWSKI

NAJPROŚCIEJ

Rad jestem z wami pomówić,
posmucić się i uśmiechnąć.
Biadacie: tułacze troski.
Niech będą. Byle nie — niechęć.
Byle nie w czarną rozpacz
zmieniane najkrwistsze życie,
gospodarskie, gazdowskie,
chłopskie — coś z Kasprowicza.
Zacięte. Z ojca na syna
nauka zdrowego sensu
i żartu odrobina,
nawet w pogromie i klęsce.

Wytłumacz sobie, wytłumacz,
żeś się nie poddał nigdzie,
a to, że drzwi nam domu
zawarto, przez te drzwi — przyjdziesz.
Powiesisz na kołku czapkę,
rozejrzysz się i zobaczysz,
czy tak samo pod oknem
płacząca brzoza płacze.
Policzysz, ile lat nad nią
bez ciebie mogło przelecieć
i ile skoszono chleba,
gdyżeś wędrował po świecie — —

Czarnego. Mojego. Twego.
Innego niż wszystkie takie,
jak las, co inaczej gada,
inaczej śpiewają ptaki
i noc, co słodziej zapada.

Rad jestem z wami pomówić,
najprościej wam potwierdzić —
że Ziemia tam dalej rodzi,
a bociek na gnieździe siedzi.
Sygnaturkami dzwonią
na Ave ludu pacierze...

— — — — — — — — — — — —

Ty tutaj. Nie bój się — o nich.
Trwają. Czekają. Zwyciężą.

POCZTÓWKI ANGIELSKIE

ZBROJE W MUZEUM

To naprawdę się bili,
a może tylko rekwizyty z teatru...
Ach, nie! Była wojna Białej i Czerwonej
i Cromwell i coś nadto.
Ale po co tak wyczyszczone,
wypucowane na glanc,
wzorem tylu tu oglądanych,
podziwianych, rejestrowanych —
sztanc.
U nas tego niewiele, niewiele,
boć, sami rozumiecie,
rozsieliśmy, przyjaciele,
wszystkie nasze zbroje po świecie.
Po kurhanach, mogiłach dalekich,
po Wschodach i Zachodach.
— — — — — — — — — — — —
Wracajmy. Powiało chłodem
od rzeki.

POCZTÓWKI ANGIELSKIE

KATEDRA

Król
z Bogiem się wadził
(poddani są królowi posłuszni)
więc Pan Bóg wielkodusznie
na chwilkę się stąd —
wyprowadził:
— dajcie Mi spokój...

Pozostał po wyprowadzce
ślad od kolan (z tylu lat...) na posadzce
i w oknie
drzemiące Boże Oko.

Jerzy Dołęga-Kowalewski

KOMUNIKAT O PIELGRZYMKACH

Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii zawiadamia z przykrością, że koleje francuskie podniosły taryfę osobową o 25%.

W związku z tym koszt pielgrzymek musi ulec zmianie, a mianowicie:

do LOURDES (6-13 wrzesień) — £ 25.0.0;

do LA SALETTE (16-24 sierpień) — £ 26.0.0;

do ASYŻU (14-23 wrzesień) — £ 33.5.0.

Ostatni termin zgłoszenia upływa na miesiąc przed dniem wyjazdu każdej pielgrzymki.

WYSTAWA POWOŁAŃ

Wystawa powołań. We wszystkich prawie krajach odczuwa się brak powołań kapłańskich i zakonnych. A trzeba nie tylko wyrównać straty spowodowane wojną i prześladowaniami religijnymi, ale odpowiedzieć także wymogom czasu, które zwiększyły zapotrzebowanie duchowieństwa na różnych nowych polach działalności ludzkiej i równocześnie zwiększyły ilość godzin potrzebnych dla pracy kapłańskiej z powodu ożywiającego się coraz bardziej ruchu liturgicznego i eucharystycznego. Jak stwierdza kardynał Griffin, „nie ma zakonu ani zgromadzenia zakonnego, które nie mogłyby zwiększyć swej działalności, gdyby miały więcej członków". Dla wzbudzenia nowych powołań nie tylko trzeba modlić się do Pana Żniwa, aby posłał robotników do winnicy swojej, ale imać się różnych nowoczesnych sposobów dotarcia do dusz ludzkich, zwłaszcza tych, które juz — zdaje się — odczuwają poruszenia łaski Bożej, a nie umieją jeszcze zdać sobie sprawy, czy jest to rzeczywiście wołanie ich na pola żniwne.

Jednym z tych nowoczesnych środków to odbywające się w Anglii od roku 1948 tak zwane wystawy powołań, na których różne zakony i zgromadzenia zakonne mają swoje stoiska i przedstawiona jest także działalność duchowieństwa świeckiego. W Blackburn w roku 1948 wystawę taką zwiedziło 6.000 osób, stoisk było zaledwie 27. W następnym roku w Bolton było 40 stoisk, a zwiedzających 10.000. Na wystawie w Manchester było już 77 stoisk, a zwiedzających nie mniej, niż 75.000. W roku zeszłym w Glasgow 4 diecezje i 97 zakonów i zgromadzeń zakonnych wykazywało swą działalność, a ilość zwiedzających dochodziła do 200.000. Obecnie, od 5 do 12 lipca, w Olympii w Londynie odbywa się wystawa powołań, w której udział bierze 6 diecezji i 150 zakonów i zgromadzeń zakonnych. Wystawę powinni zwiedzić z w ł a s z c z a ci, którzy nie doceniają pracy Kościoła katolickiego w służbie Bogu i ludziom.

Godziny otwarcia wystawy od 10 rano do 10 wieczorem codziennie od poniedziałku 6 lipca do soboty 11 lipca włącznie. W obydwie niedziele trzeba mieć specjalny bilet wstępu, ze swej parafii.

Budowa seminarium w Araucarii. Budowa Seminarium św. Wincentego a Paulo w Araucarii, które stać się ma żywym pomnikiem Stulecia Emancypacji Parany i Emigracji Polskiej, stale postępuje naprzód; na ukończeniu są już fundamenty; budowa wzbudza zainteresowanie całej okolicznej ludności; ma to być największy gmach w okolicy Araucarii; ale też i koszta budowy są ogromne i zgromadzenie księży misjonarzy liczy na pomoc społeczeństwa w realizowaniu dzieła, które będzie służyć pośrednio całemu ogółowi.

STOLICA APOSTOLSKA A ZAKON MALTAŃSKI

W „Osservatore Romano" ukazał się oficjalny komunikat o ostatecznym ustaleniu przez Komisję Kardynalską kompetencji przysługujących Kongregacji Zakonników w stosunku do Zakonu Maltańskiego. W ciągu ostatniego wieku jego charakter uległ przeobrażeniom, a to głównie dlatego, że ilość kawalerów, którzy złożyli śluby stała się nikłą w porównaniu z większością zwolnioną z tego obowiązku. W tych warunkach powstała konieczność zastanowienia się nad dostosowaniem statutu (właściwie konstytucji) tego suwerennego zakonu do stosunków obecnych.

Będzie to zapewne najbliższym zadaniem jego naczelnych organów. Prace te będą prawdopodobnie wykonywane równocześnie z przygotowaniami do mających się wkrótce odbyć wyborów Wielkiego Mistrza, na miejsce zmarłego w r. 1951 księcia Chigi-Albani. Obu tych czynności dokonuje Wielka Rada Zakonu Maltańskiego, składająca się z około 30 osób, wśród których zasiada też przewodniczący Polskiego Związku Kawalerów Maltańskich, hr. Emeryk Hutten-Czapski. Niedawno suwerenność Zakonu Maltańskiego została uznana przez Argentynę, Peru i Brazylię, gdzie stanowisko ambasadora obsadzone jest przez ks. Olgierda Czartoryskiego.

SZTUKA TEATRALNA PRZYCZYNĄ PROCESU

Surowe przepisy, dotyczące „libel" i oszczerstwa, stosowane są w Wielkiej Brytanii oczywiście także w stosunku do utworów scenicznych. Niedawno zamieszkały w Kornwalii p. Derek Tangye i jego żona wystąpili przeciw „producentom" sztuki „Sweet Peril" ze skargą o ciężkie zniesławienie. Stwierdzono istotnie, że dwom głównym postaciom sztuki nadano cechy, po których można było rozpoznać, że pierwowzorami byli tu pp. Tangye i że intencją było przedstawienie ich w ujemnym świetle.

Okazało się, że „producenci" nie wiedzieli nic o tych okolicznościach i że wina spoczywa na autorach sztuki. Proces zakończył się wyrażeniem przez oskarżonych ubolewania oraz zapłaceniem kosztów sądowych i poważnej sumy jako odszkodowania dla pp. Tangye.

STANISŁAW STROŃSKI

WŁADYSŁAW SIKORSKI

SPOJRZENIE PO LATACH DZIESIĘCIU

Władysław Sikorski, w chwili wybuchu w r. 1914 pierwszej wielkiej wojny 33-letni inżynier z wstępną zaprawą wojskową oficera rezerwy w zaborze austriackim, miał też za sobą, jako przewódca nielicznego odłamu młodzieży postępowo-narodowej we Lwowie po 20-ce, pierwszą szkolę polityczną. W latach wojny, 1914-18, gdy kierowniczo działał w legionach i w ruchu legionowym, obie te żyłki, wojskowa i polityczna, żywo tętniły, pogłębiając jego wprawę w obu dziedzinach i kształtując jego postać już na stałe, na dalszych lat 25, dwoiście, jako żołnierza zawodowego i polityka w potrzebie. W pierwszym kierunku, wojskowym, od wskrzeszenia państwa, jako jenerał, odznaczył się pod Lwowem, na Polesiu i pod Modlinem, a jako szef sztabu 1921-22 i minister spraw wojskowych 1924-25, zmysłem pracy, przedsiębiorczości i uchwytnych wyników, posunął wydatnie naprzód budowę sił zbrojnych polskich i nawiązał dobre stosunki z dowództwami zachodnimi, francuskim i brytyjskim. W kierunku politycznym, jako prezes rady ministrów od końca grudnia 1922 do końca maja 1923, steruje sprawą uznania granicy wschodniej Polski przez mocarstwa zachodnie, zgodnie z art. 87 Traktatu Wersalskiego, uchwałą Rady Ambasadorów 15 marca 1923 i oświadczeniem St. Zj. Ameryki 5 kwietnia 1923, a 3 maja 1923 wita w Polsce marszałka Focha pod pomnikiem Poniatowskiego w Warszawie.

Po zamachu majowym 1926, usunięty nawet ze stanowiska dowódcy korpusu we Lwowie, które objął po opuszczeniu w listopadzie 1925 ministerstwa spraw wojskowych i piastował tylko do marca 1928, bez dalszego przydziału służbowego, z wielką szkodą, gdy tyle było do zrobienia w przygotowaniu obrony kraju, przez 11 lat z 13 pomajowych działa jako pisarz wojskowo-polityczny, ogłaszając trzy książki po polsku i po francusku, nad którymi pracuje także za granicą, we Francji, utrwalając tam swe przyjaźnie wojskowe i polityczne.

Po wybuchu drugiej wielkiej wojny, we wrześniu 1939, zgłasza się o przydział służbowy do Rydza-Śmigłego, równie uparcie jak nieskutecznie, a po opuszczeniu Kraju przez rząd i dowództwo staje w Paryżu 24 września 1939.

WE FRANCJI 1939/40

Rząd polski na obczyźnie, utworzony pod przewodnictwem jen. Sikorskiego, jako prezesa rady ministrów, ministra spraw wojskowych i naczelnego wodza, w Paryżu 30 września 1939 roku, oparty był o następujące podstawowe zasady:

1. ciągłość prawną państwa, którą od razu lub wkrótce uznały wszystkie państwa (wśród nich Watykan niezmiennie) z wyjątkiem nieprzyjacielskich;

2. przy zachowaniu konstytucji roku 1935, jako podstawy ciągłości prawnej, uchylenie zawartego w niej, a ze względu na Kraj i na zagranicę niemożliwego do utrzymania nadal, jedynowładztwa, w drodze oświadczenia Prezydenta Raczkiewicza, 30 września i 30 listopada 1939, iż nie będzie stosował przepisów upoważniających go do samodzielnego działania oraz iż przekazuje to następcom, co osiągnięto w t.zw. porozumieniu paryskim;

3. stworzenie rządu jedności narodowej czterech stronnictw, a z dopuszczeniem, wbrew i mimo wyłączności obozu pomajowego w trzynastoleciu 1926-39, również i przynależnych do tej grupy;

4. oparcie o Kraj i ścisła z nim styczność od końca roku 1939, stale udoskonalana coraz bardziej zwartą budową aż do powołania Rady Jedności Narodowej w Kraju, Delegatury Rządu i Dowództwa Krajowego;

5. odbudowanie Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie i podziemnych w Kraju i dalszy pełny udział w wojnie w gronie państw sprzymierzonych wraz z utrzymaniem sojuszów i ich uzupełnianiem w miarę przebiegu wojny.

Dostosowanie naszego ustroju prawno-politycznego do potrzeb na obczyźnie, przy najstaranniejszym oparciu o Kraj, przez ciągłość prawną, usunięcie jedynowładztwa i jedność narodową, wyrażającą się także w powołanej zastępczo Radzie Narodowej pod przewodnictwem Paderewskiego, trudne lecz dobrze i rzetelnie zbudowane od początku rządu jen. Sikorskiego, nie zawiodło przez blisko cztery lata do jego śmierci i oczywiście w znacznej mierze dzięki jego zdolności parania się z tarciami, na którą składał się dość osobliwy splot stanowczości i nawet porywczości z pojednawczością.

Utrwaleniu międzynarodowych stosunków sojuszniczych i przyjaznych Polski w wojnie, już w tym pierwszym okresie, służyła, obok bezpośrednich stałych styczności z władzami Francji, podróż jen. Sikorskiego do Londynu od razu w listopadzie 1939 i narada z p. Sumner Welles'em, przedstawicielem prezydenta Roosevelta w jego podróży europejskiej, w marcu 1940.

Odbudowanie naszych sił zbrojnych na obczyźnie, które było troską trosk jen. Sikorskiego, przy umowie morskiej z W. Brytanią z 18.11.39 oraz wojskowej 4.1.40 i lotniczej z 17.2.40 z Francją, doszło już w połowie czerwca 1940, gdy we Francji wszystko się kończyło, dzięki przepięknemu ciągowi z Kraju i ofiarnemu zaciągowi wychodźstwa we Francji, po połowie stąd i stamtąd, do 82 tysięcy żołnierza, w czym ponad 8 tysięcy lotników i ponad 1.400 marynarzy.

W chwili klęski Francji dwu obowiązkom sojuszniczym stało się zadość. Do ostatniej chwili żołnierz polski walczył wyróżniająco się we Francji. A po widzeniu się jen. Sikorskiego z p. Churchillem 18 czerwca 1940 przeprawiał się na dalszą walkę do Wielkiej Brytanii.

Z W. BRYTANIĄ I ST. ZJ. A.

Po przeniesieniu się władz Państwa do Wielkiej Brytanii w końcu czerwca 1940, ocalały (w marynarce i lotnictwie w całości) zasób sił zbrojnych polskich, w liczbie wówczas ponad 30 tysięcy, odznacza się chlubnie udziałem lotniczym w bitwie o W. Brytanię w sierpniu i wrześniu 1940 i ciągle nadal, zdobywa stałe uznanie w walkach morskich, a na lądzie, po umowie wojskowej polsko-brytyjskiej z 5.8.40, uczestniczy w obronie wybrzeży szkockich i walczy w Afryce Północnej, a z przypływem z Rosji po r. 1941 dojdzie znowu do 100 tysięcy żołnierza, udoskonalając swą wartość bojową szkoleniem i uzbrojeniem dzięki nieustannym staraniom jen. Sikorskiego.

W tych latach, od 1940-41 poczynając, gdy Polska jest głównym sprzymierzeńcem czynnym w wojnie, a w Kraju wzorem oporu bez Quislingów, stanowisko brytyjskie tchnące uznaniem dla Polski i dla jen. Sikorskiego jako uosobienia jej dążeń, wyraża się w rzetelnym uwzględnianiu jej potrzeb w wojnie oraz w licznych oświadczeniach i zobowiązaniach ważkiej treści, jak:

P. Churchill, 24.8.41: „Polacy, bohaterstwo waszego narodu w oporze przeciw okrutnemu ciemiężcy, odwaga waszych żołnierzy, marynarzy i lotników, nie będą zapomniane, kraj wasz odżyje i znajdzie znowu należne mu miejsce w nowym ustroju Europy."

Kardynał Hinsley, 7. 9. 41: „Probierzem naszej szczerości w rozprawie o sprawiedliwość jest nasza troska o zmartwychwstanie Polski, nie mniej, lecz zaiste nawet bardziej, niż o uwolnienie jakiegokolwiek innego narodu uciskanego."

Już w r. 1941, od 24.3 do 9.5, jest jen. Sikorski po raz pierwszy w St. Zj. Ameryki i w Kanadzie, jeszcze przed wojną Niemcy-Rosja i przed wkroczeniem St. Zj. w wojnę, wzmacnia tam przyjaźń dla Polski i nawiązuje bardzo przyjazne stosunki z prezydentem Rooseveltem, który wkrótce, 5 lipca 1941, powie:

„Bohaterska i stanowcza postawa narodu polskiego w walce i w poświęceniu wobec straszliwego ucisku i niedoli stały się natchnieniem nie tylko dla narodu Stanów Zjednoczonych, lecz dla wszystkich miłujących wolność ludzi w świecie."

Drugą podróż do Waszyngtonu, 23.3 do 6.4.1942 podejmuje jen. Sikorski, gdy Rosja, po przetrzymaniu pierwszego uderzenia Niemiec do zimy 1941-42, wysunęła żądania zaborcze poza swą granicę zachodnią z roku 1939 a trzecią, 29.11.42 do 13.1.43, gdy po Stalingradzie napór Rosji w zespole wojennym groźnie się wzmaga, celem ogólnego omówienia dalszego przebiegu wojny, wsparcia walki w Kraju i zabezpieczenia spraw Polski, zarówno od strony Niemiec, jak od strony Rosji.

W okresie rządu jen. Sikorskiego, do połowy roku 1943, podstawowe stosunki sojusznicze z Wielką Brytanią i ze St. Zj. Ameryki, dzięki jego codziennej, rzec można, czujności i gorliwości, wytrzymują próbę i Polska ma miejsce i głos należne jej w sojuszu.

EUROPA

W toku wojny, która wynikła nie tylko z odwiecznego naporu Niemiec, wznowionego obłudnie wobec Polski przez Hitlera, ale także i zwłaszcza z nie mniej obłudnego wspólnictwa Rosji pod sterem Stalina, przypieczętowanego tajną umową na Kremlu 23.8.39, na tydzień przed wybuchem, zadaniem polityki polskiej i jednym z głównych działów pracy osobistej jen. Sikorskiego było nakazane doświadczeniami przygotowanie współpracy zespołu państw między Niemcami a Rosją, opartej na szerszej współpracy z Europą Zachodnią.

Zawiązkiem zespołu Europy Środkowo-Wschodniej ma być porozumienie i związek prawno-państwowy Polski z Czechosłowacją. Posuwają je naprzód, przy szczerych dążeniach polskich pod przewodem jen. Sikorskiego, a chwiejnych w miarę przebiegu zdarzeń wojenno-politycznych ze strony prezydenta Benesza, trzy kolejne oświadczenia i umowy polsko-czechosłowackie: z 11. 11.1940, z 23.1.1942, z 14.6.1942. Od końca r. 1942 p. Benesz gnie się i skłania ku pociągającej go powodzeniami Rosji w złudnej wierze w jakąś jej wzajemność dla Czechosłowacji.

Przygotowanie przyszłej współpracy ogólno-europejskiej wszczynała narada dziewięciu państw sojuszniczych lądowo-europejskich w St. James's Palace, 13.1.42, pod przewodnictwem jen. Sikorskiego, z którego nazwiskiem to przedsięwzięcie mocno się związało.

ROSJA

W miarę przebiegu wojny, załamania się uderzenia Niemiec na Zachód, wprawdzie nie na Francji latem 1940, lecz na Wielkiej Brytanii jesienią 1940, szukania wyjścia przez rozpaczliwe uderzenie w połowie roku 1941 na Rosję, wciągniętą w ten sposób w sojusz z Zachodem już z udziałem St. Zj. Ameryki od końca roku 1941 i korzystającą z jego pomocy, klęska Niemiec stawała się tylko sprawą czasu, a główne niebezpieczeństwo dla Polski narastało od strony Rosji, mocno postawionej w sojuszu z Zachodem i wyzyskującej to ponad rzeczywistą wartość, gdyż bez jego pomocy sama by się nie ostała.

Umowa polsko-rosyjska z 30 lipca 1941 — (po uderzeniu Niemiec na Rosję 22.6.41 i po umowie wzajemnej pomocy czyli sojuszniczej brytyjsko-rosyjskiej z 19.7.41) — była zadaniem bardzo trudnym, bo wyjście Polski z zespołu sojuszniczego było samobójstwem, ale wówczas, gdy Rosja sama była śmiertelnie zagrożona, podstawowe stanowisko polskie zostało w niej uwzględnione, gdyż:

1. Rosja, która w chwili dołączenia się do uderzenia niemieckiego na Polskę 17.9.39 i w umowie z Niemcami 28.9.39 uznała, że Państwo Polskie przestało istnieć, a teraz zgłaszała gotowość jedynie utworzenia przez się i u siebie t.zw. Komitetu Narodowego Polskiego, musiała wyrzec się tego i uznać z powrotem istnienie Państwa Polskiego, nawiązując z Rządem na obczyźnie stosunki dyplomatyczne.

2. Zamiast wysuniętego przez się żądania granicy polsko-rosyjskiej z układu rozbiorczego z roku 1939, czyli z zaborem Polski wschodniej, Rosja musiała uznać układy sowiecko-niemieckie z r. 1939, dotyczące zmian terytorialnych w Polsce za unieważnione, co zostało wzmocnione notą brytyjską z 30.7.41 i oświadczeniem amerykańskim z 31.7.41, stwierdzającymi, że nie uznają zmian terytorialnych w Polsce od sierpnia 1938.

3. Zamiast swego wniosku, by utworzony przez nią Komitet Polski w Rosji tworzył tam wojsko polskie, Rosja musiała zgodzić się na tworzenie go przez Rząd Polski pod dowództwem polskim i na uwolnienie wszystkich jeńców i uwięzionych obywateli polskich.

Ocena najwłaściwsza i rozstrzygająca umowy z 30 lipca 1941, w której jen. Sikorski walczył o wszystko bez ustępstw i niczego zgubnego nie dopuścił, tkwi w tym, że Moskwa nigdy, w niczym nie mogła się na tę umowę powołać, lecz mogła tylko ją gwałcić.

Tymczasem zaś i od razu umowa ta uwolniła jeńców i więźniów polskich i umożliwiła utworzenie w r. 1941 wojska polskiego w Rosji pod dowództwem jen. Andersa i wydobycie go z niej w r. 1942 wraz z częścią niewojskowych w liczbie 115.000 ludzi.

Już w niespełna rok po umowie, wzmocnionej wyjazdem jen. Sikorskiego do Rosji i oświadczeniem Sikorski-Stalin z 4.12.41, wolnym w swym brzmieniu od jakiegokolwiek zarzutu, wiosną 1942, p. Mołotow, w podróży do Londynu i do Waszyngtonu, usiłował uzyskać uznanie granicy zachodniej Rosji z r. 1941 z wszystkimi zaborami. Wówczas to jen. Sikorski podjął w Londynie i w drugiej podróży do St. Zj. A. stanowcze przeciwdziałanie. Wynik był niemal ponad oczekiwanie pomyślny, gdyż St. Zj. A. odmówiły wszelkiego układu w sprawie granic, a umowa brytyjsko-rosyjska z 26.5.42 nie tylko nie uczyniła zadość żądaniu rosyjskiemu, lecz w art. 5 podtrzymywała zgodnie z Kartą Atlantycką nienaruszalność obszaru państw sojuszniczych i nienarzucanie im rządów.

Oceną rosyjską umowy z r. 1941 i polityki jen. Sikorskiego było stopniowe zrywanie umowy od roku 1942 i całkowite zerwanie stosunków z Rządem Polskim jen. Sikorskiego, w związku ze sprawą Katynia, 25.4.1943.

CIOS

Poczucie wielkości Polski i wiara w Polskę, zmysł działania i pełnej odpowiedzialności, zdolność nieustannej pracy, umysł twórczy i żywa wola, czyniły Władysława Sikorskiego, w najcięższej dobie dziejów naszych, sternikiem polityki polskiej, którego śmierć 4 lipca 1943, w służbie Ojczyźnie, była ciosem straszliwym i stała się stratą niepowetowaną, coraz bardziej się uwydatniającą z biegiem lat.

Stanisław Stroński



Gen. Sikorski modli się w Kościele Polskim w Londynie

GROMADY „LUDU POLSKIEGO"

Dnia 3 czerwca odbył się w Polskim Towarzystwie Historycznym (w Instytucie gen. Sikorskiego) odczyt dra J. Żmigrodzkiego „Gromady 'Ludu Polskiego' w Anglii (1835-48) w świetle prac wydanych ostatnio w kraju". Prace te otwierają drugi okres wzmożonego zainteresowania „Ludem Polskim" w polskiej historiografii.

Okres pierwszy przypadł na koniec wieku XIX i początek XX, co było jednym z objawów wzmożonej w tym czasie aktywności ruchów lewicowo-społecznych, głównie socjalizmu. Obecnie pisarze reżymowi zwrócili się ku epoce po powstaniu 1830 i jej ruchom społecznym, głównie w zamiarze znalezienia poprzedników na gruncie polskim dla tym lepszego zaszczepienia w Polsce zasad reżymu komunistycznego. Na emigracji także pewna ilość osób studiuje historię gromady w Plymouth; dla historyka polskiego żyjącego w Anglii i pragnącego źródłowo opracowywać zagadnienia historii Polski, „Lud Polski" przedstawia szczególnie dogodny temat, gdyż był to jedyny większy odłam emigracji po 1830, który osiedlił się w Anglii. Emigracja obecna szuka historycznych precedensów i wskazówek dla chwili obecnej w dziejach Wielkiej Emigracji. Epizod „Ludu Polskiego" jest pouczający nie dla prowadzenia wielkiej polityki w stylu księcia Adama Czartoryskiego, ale jako przykład ideowej prężności prostego żołnierza-emigranta, oraz jako wzór ścisłego współżycia z tym prostym szeregowcem jego oficerów-inteligentów, także i po zakończonej wojnie.

Skład społeczny „Ludu Polskiego" nie został jeszcze ściśle ustalony. Prelegent opierając się o brzmienie nazwisk „szlacheckich" i „chłopskich", sądzi, że połowę stanowili chłopi pańszczyźniani, a drugą połowę szlachta zagrodowa żyjąca w praktyce w warunkach podobnych do chłopskich. Dr Jasnowski sugeruje sięgnięcie do archiwów brytyjskich, by na podstawie list płac owych emigrantów-żołnierzy ustalić, ilu z nich podpisywało się krzyżykiem, a więc było analfabetami.

Co do ideologii, jaką ten ruch stworzył, przeważa opinia, że była ona dziełem związanych z nim inteligentów. Jednocześnie jednak można obserwować aktywność umysłową samych chłopów. Z ich inicjatywy zostały zorganizowane kursy języka francuskiego. Płk Biegański zauważył w dyskusji, że duch i ideologia „Ludu Polskiego" wykazują pokrewieństwa ze związkiem chłopskim księdza Ściegiennego, jak to się ujawniło w latach 1846 i 1848. Przywódcami „Ludu Polskiego" byli trzej inteligenci: Worcell, Krępowiecki i Świętosławski i oni to zapewne sformułowali jego ideologię. Jest to socjalizm wyłącznie agrarny, nie przemysłowy. Jako naczelną tezę swego programu wysuwał on, że dla realizacji socjalizmu nie należy czekać na rozwój przemysłowy Kraju, ale trzeba przystąpić do natychmiastowego wyzwolenia i uwłaszczenia chłopów; ziemia powinna być zabrana przez państwo jej dotychczasowym właścicielom, po czym według zdania jednych powinna być zorganizowana gospodarka państwowa, gdy inni woleli, aby państwo rozdzieliło ziemię między chłopów celem stworzenia gospodarstw indywidualnych. Była to antycypacja programu reformy rolnej, realizowanego częściowo po odzyskaniu niepodległości. Ten program gospodarczy został silnie zabarwiony klasowym duchem chłopów, którzy, jak zaznaczył to w dyskusji dr Ciołkosz, ziali wręcz nienawiścią do szlachty. Doprowadziło to w końcu do rozbicia i upadku ruchu, bo przywódcy-inteligenci, zrażeni tymi objawami, ruch opuścili, by nie zrywać z resztą społeczeństwa emigracyjnego.

Inny aspekt ideologiczny ruchu, celowo pomijany przez obecny reżym w Polsce, to jego silne zabarwienie etyczne i religijne. Ewangelia była podstawą poczynań, rewolucję i socjalizm rozumiano jako objawienia. Ojcem duchowym tego kierunku był romantyczny komunista francuski Buonarotti, opierający się o Pismo Święte. Mazzini, inny teoretyk socjalizmu, który wywarł duży wpływ na ideologię „Ludu Polskiego", formułuje swe poglądy w schemacie: u góry Bóg, u dołu lud, w środku postęp. W szerszym aspekcie filozoficznym ideologia „Ludu Polskiego" opierała się o Hegla i o Cieszkowskiego, który dał katolicką interpretację Hegla.

Dr Ciołkosz zauważył w dyskusji, że Worcell był pierwszym polskim wybitnym myślicielem i działaczem socjalistycznym, choć nie ma on nic wspólnego z kierunkiem marksowskim. Socjalizm epoki romantycznej kładł wielki nacisk na zagadnienia etyczne, później pod wpływem Marxa odszedł od tych zagadnień, by skupić się na sprawach gospodarczych. Dziś obserwujemy w socjalizmie nowe rozbudzenie dążności etycznych.

Według gen. Kukiela ideologia Towarzystwa Demokratycznego szła w pewnej mierze po liniach podobnych do „Ludu Polskiego". Jego programem minimalnym było uwłaszczenie chłopów. Przeważyła jednak koncepcja chłopskiej własności indywidualnej, choć i tam byli ludzie o poglądach komunistycznych, jak Mierosławski. Ideałem Tow. Demokratycznego było demokratyczne społeczeństwo zorganizowane w duchu humanitaryzmu, coś w rodzaju współczesnego „Welfare State". Przyświecała mu tradycja egalitaryzmu Robespierre'a.

Odczyt i dyskusja miały charakter ściśle naukowy, było to zebranie historyków-fachowców.

M. W.

ZGON ARCYBISKUPA DOWNEYA

W dniu 16 czerwca zmarł w wieku lat 72 w jednym ze szpitali liverpoolskich dr Richard Downey, od r. 1928 arcybiskup Liverpoolu. Ś.p. arcybiskup Downey był jedną z najpiękniejszych postaci świata katolickiego Anglii.

Irlandczyk z pochodzenia, urodził się w r. 1881 w Kilkenny; studia swe teologiczne odbywał najpierw w Wielkiej Brytanii, później zaś ukończył je na uniwersytecie gregoriańskim w Rzymie, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii. W r. 1911 przyłączył się do małej kongregacji księży świeckich, która miała dom misyjny w Brandesbury, w północnej części Londynu i specjalizowała się w wykładach publicznych z zakresu nauki katolickiej oraz w pracach pisarskich. Downey założył czasopismo „Catholic Gazette" i przez długi czas był jego redaktorem; równocześnie wykładał filozofię i teologię, zajmując się też żywo sprawami społecznymi. W r. 1926 mianowany został wicerektorem i profesorem teologii dogmatycznej w Upholland College koło Wigan w środkowej Anglii, a w dwa lata później, po zgonie arcybiskupa Keatinga, objął stolicę arcybiskupią w Liverpoolu.

Na tym stanowisku wykazał niezwykłą energię i inicjatywę. Ukoronowaniem jego wysiłków było zbudowanie wspaniałej katedry katolickiej w centrum Liverpoolu, w miejsce dotychczasowego małego kościoła, niewystarczającego zupełnie na potrzeby społeczności katolickiej w Liverpoolu, który jest najbardziej katolickim z wielkich miast Anglii. Katedra, zbudowana z inicjatywy arcybiskupa Downeya, jest jednym z największych kościołów świata.

Arcybiskup Downey brał żywy udział zarówno w życiu społecznym swej diecezji, jak w życiu uniwersytetu liverpoolskiego; był członkiem rady tej uczelni. W czasie wojny manifestował wielokrotnie gorącą przyjaźń dla Polski i jej walki o wolność. „Wojna — czytamy w długim wspomnieniu pośmiertelnym, ogłoszonym przez „Manchester Guardian" — ujawniła go jako bezkompromisowego patriotę, zdecydowanie wrogiego dyktaturom totalistycznym; Polska, oświadczył, ukrzyżowana została jak jej Pan między dwoma łotrami."

Ten sam dziennik stwierdza, że arcybiskup Downey cieszył się respektem, a w wielu wypadkach nawet miłością ludzi wszystkich warstw społecznych i wyznań, o czym świadczyły modły o jego powrót do zdrowia, odprawiane w kościołach anglikańskich i synagogach.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 5 lipca 1953

PROF. ST. KOŚCIAŁKOWSKI O UPADKU BIZANCJUM

Emigracji naszej zarzuca się zbytnie zamknięcie w jej własnych sprawach i oderwanie od szerszych kulturalnych zagadnień. Ten wąski utylitaryzm aktualnego życia i jego potrzeb politycznych lub też zastygnięcie w często owianych sentymentalizmem wspomnieniach ze szczęśliwej epoki niepodległości nie opanowały jednak całkowicie naszego życia. Rocznica upadku Konstantynopola dała okazję nie tylko do artykułu w ŻYCIU, ale i do odczytu prof. Stanisława Kościałkowskiego w Instytucie Wschodnim „Reduta" — w świetny sposób, żywo i jasno opisującego oblężenie i zdobycie miasta przez Turków, a przy tym owianego serdecznym, czystym tchnieniem wielkich zagadnień historii.

Upadek Konstantynopola nie był bezpośrednio związany z naszą historią, choć pośrednio wpłynął na nią znacznie jako jeden z ważnych etapów ekspansji tureckiej, która miała doprowadzić Turcję do bezpośredniego zetknięcia z Polską, co w XVII wieku znacznie zaważyło na naszych dziejach. Upadek Bizancjum był ważnym faktem w historii światowej, zakończył on istnienie wielkiej potęgi politycznej i kulturalnej, jaka przez tysiąclecie wywierała przemożny wpływ na życie kulturalne Europy, a której kultura w bardziej czystej formie zapanowała na wielkich obszarach Europy wschodniej i południowo-wschodniej. Obszary te górowały kulturalnie nad Europą zachodnią. Znana jest świetność kulturalna Rusi Kijowskiej w XI — XII w., a Serbii w XII — XIII. Te świetne przejawy kultury bizantyńskiej,zaszczepionej wśród młodych i energicznych narodów zostały stłumione przez siły ze Wschodu. Serbia dostała się w niewolę turecką, co na długie wieki wstrzymało jej rozwój. Ruś została zamieniona w pustynię przez najazdy Tatarów, a Moskwa przyjęła pod panowaniem tatarskim tyle cech nowych jej władców, że odtąd kultura jej ma więcej rysów azjatyckich niż bizantyjskich. To co powszechnie uważamy, opierając się o przykład Rosji, za bizantynizm jest bardzo dalekie od pierwotnej bizantyjskiej kultury, która mimo wszystkich późniejszych przemian i domieszek wschodnich korzeniami swymi tkwi w starożytnej Grecji.Wspaniałe półkule kopuł świątyń bizantyjskich wywodzą się swą formą z łuku rzymskiego, cebulaste cerkwie rosyjskie wykazują wpływ form chińskich, chińska kultura bowiem dała podstawę kulturalną Tatarom po podboju przez nich części Chin.

Pozwolę sobie wtrącić parę własnych uwag. Życie Bizancjum uważamy zazwyczaj za skostniałe, a ludność jego za pozbawioną młodej energii, prawie zdegenerowaną. Tymczasem państwo bizantyjskie wykazało ogromną siłę odporną opierając się skutecznie straszliwej fali najazdów ze wschodu i północy, które zmiotły z powierzchni ziemi potęgę Rzymskiego Imperium i zburzyły prawie kompletnie jego kulturę. Zawdzięczało ono tę siłę nie tylko świetnej dyplomacji, sprężystej biurokracji i bitnej armii. W samym Konstantynopolu, stolicy świata przez tysiąc lat, zdobywającej ogromne wielonarodowe imperium, masy ludności grały niemałą rolę. Fałszywe byłoby uważanie ich za motłoch łaknący jedynie chleba i igrzysk. Na ich pracowitości i wyszkoleniu w rzemiosłach opierało się bogactwo Bizancjum, ich patriotyzm i zapał religijny stanowił potężną podbudowę ludową pod oficjalną politykę państwa i Kościoła. Lud ten, w pewnych momentach burzliwy i groźny, był trzecią wielką siłą w mieście obok cesarza i Kościoła. W momentach bezpośredniego zagrożenia, a historia Bizancjum miała ich szczególnie wiele, duch tego ludu był jedną z głównych sił pozwalających odeprzeć niebezpieczeństwo.

Zdegenerowana była ludność Rzymu i dlatego załamał on się pod falą najazdów bez zaciętej walki. Od murów Bizancjum odbijały się jak od niewzruszonych skał wszelkie ataki. Duch ten nie zanikł zupełnie do końca mimo długiego, setki lat trwającego rozkładu imperium. Przejawia się on jeszcze w ostatniej obronie miasta, gdy osiem tysięcy obrońców walczyło przez blisko dwa miesiące ze 150-tysięczną, doskonale wyszkoloną i dowodzoną armią, uzbrojoną przy tym, po raz pierwszy w dziejach, w artylerię; walczyło mimo braku nadziei na szybką pomoc skądkolwiek. Coś z tego ducha miał i ostatni cesarz Konstantyn XI, który zamiast ratować się ucieczką w beznadziejnej sytuacji, zginął w walce.

Prof. Kościałkowski ciekawie oświetlił stosunek patriarchy Konstantynopola do spraw polskich. Po zdobyciu miasta był on pod względem politycznym podporządkowany sułtanowi i służył nieraz za narzędzie polityki tureckiej, co skrupiało się na naszej skórze, gdy Turcja stała się wrogą nam potęgą. Za jego pośrednictwem sułtan starał się wpłynąć na politykę Moskwy i zgrać jej posunięcia ze swoimi w walce z Polską. Patriarcha z własnej inicjatywy usiłował działać na korzyść Moskwy, bo z tego największego wówczas kraju o wschodnim obrządku otrzymywał pomoc materialną.

M. W.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

FESTIWAL HOLENDERSKI. Doroczny holenderski festiwal artystyczny, odbywający się od lat sześciu między połową czerwca a połową lipca, jest zawsze dzięki swemu wysokiemu poziomowi jednym z wybitnych wydarzeń kulturalnych w Europie Zachodniej. Typem swym przypomina festiwal edynburski, trwa jednak dłużej, bo cały miesiąc i ma dzięki temu jeszcze bogatszy program. Program ten wykonywany jest w obu stolicach kraju, to jest w Amsterdamie i w Hadze, wraz z jej nadmorskim letniskiem Scheveningen. Niektóre przedstawienia i koncerty dawane są w obu tych miastach. W festiwalu tegorocznym biorą udział dwa zespoły operowe, siedem zespołów muzyki kameralnej, dwa balety, dwa zespoły teatralne i cztery zespoły śpiewackie. Poza tym urządzono szereg wystaw sztuk pięknych ze wspomnianą już na tym miejscu poprzednio wystawą płócien Van Gogha w setną rocznicę jego urodzin.

Na plan pierwszy w tym roku wysunęły się opery, przy czym „clou" stanowiły dwie opery kompozytora hiszpańskiego Manuela de Falla „La Vida Breve" i „El Retablo de Maese Pedro". Opery te wykonane były przez śpiewaków holenderskich w języku hiszpańskim, co — jak stwierdzają recenzenci — wypadło raczej twardo, choć głosy były pod względem czysto muzycznym doskonałe. Do baletów w tych operach specjalnie sprowadzono tancerzy hiszpańskich. Wszystko to jest jeszcze jednym dowodem, jak silnie w ostatnich latach wzrosło znów zainteresowanie kulturą i twórczością hiszpańską na Zachodzie Europy.

„WOJNA I POKÓJ" JAKO OPERA. Zmarły niedawno kompozytor rosyjski Prokofiew, który ostatnie lata swego życia spędził w Związku Sowieckim, dokąd powrócił po długim pobycie na Zachodzie, skomponował w czasie wojny operę na tle powieści Tołstoja „Wojna i pokój". Pierwsze przedstawienie tej opery po tej stronie żelaznej kurtyny odbyło się kilka tygodni temu we Florencji w ramach festiwalu „Maggio Musicale". Opera Prokofiewa stawia wielkie wymagania zarówno w zakresie wokalnym (potrzebnych jest czterdziestu dobrych śpiewaków solowych), jak orkiestrowym, a także w zakresie efektów scenicznych, obejmujących między innymi strzały artylerii.

Dyrygował orkiestrą znakomity „conductor" amerykański, a lwowianin z pochodzenia, Artur Rodziński. Dzięki niemu, jak zgodnie podkreśla krytyka, udało się szczęśliwie przebrnąć przez różne trudności przedstawienia. Ostatnia scena stanowi retoryczną apoteozę Kutuzowa, co — zdaniem recenzentki „Manchester Guardian", Camilli Roatta — jest „sprzeczne z duchem dzieła Tołstoja i nosi chłodną pieczęć sztuki oficjalnej".

NOWY DYREKTOR UNESCO. Wydział wykonawczy UNESCO powołał na stanowisko nowego dyrektora generalnego tej instytucji dra Luthera Evansa, bibliotekarza Kongresu Stanów Zjednoczonych. Nominacja ta musi być zatwierdzona przez plenarną konferencję generalną UNESCO, która zbiera się dnia 1 lipca.

O EMIGRACJI POLSKIEJ W WIELKIEJ BRYTANII. „Times" z dnia 20 czerwca ogłosił obszerny artykuł o „kwitnących osadach słowiańskich" („flourishing Slav settlements"), jakie powstały w Wielkiej Brytanii w wyniku powojennego podziału Europy na dwa przeciwstawne bloki. Wedle autora, Polaków, którzy są najsilniejszą z tych grup słowiańskich, jest obecnie w Wielkiej Brytanii około 136.000, potem idą Ukraińcy (25.000), Rosjanie (9.000), Czesi (6.000) i kilkuset Bułgarów. Wśród nie-Słowian jest 7.000 Węgrów i mała kolonia Rumunów. Łączna suma wynosi więc ponad 180.000; jest to, pisze autor, „ilość bardzo poważna, która musiała wycisnąć piętno na wielu miastach i na prowincji angielskiej".

„Bez porównania najlepiej zorganizowaną społecznością uchodźczą są Polacy", podkreśla autor i następnie podaje obszerną i na ogół bardzo przychylną charakterystykę ich życia na emigracji. Stwierdza najpierw, że Polacy uznają nadal ciągłość swych władz państwowych i że Londyn, w oczach polskich wygnańców, jest w dalszym ciągu tymczasową stolicą Polski. Prawie jedna trzecia ogółu Polaków, mianowicie 35.000, zamieszkuje obszar Wielkiego Londynu, przy czym, duży odsetek obrał sobie jako miejsce osiedlenia tę część Kensigtonu, która położona jest na południe od Cromwell Road, ulicy nazywanej przez konduktorów autobusowych „Polish Corridor" (ta część artykułu „Timesa" zaopatrzona została w podtytuł „Polish Corridor").

Autor pisze następnie o nabożeństwach polskich w Brompton Oratory i o tysiącach Polaków, którzy gromadzą się koło tej świątyni przed nabożeństwem i po nim. Stwierdza, że innymi „polskimi miastami" są Manchester, Birmingham, Bradford i Wolverhampton; poza tym dużo Polaków rozsianych jest po całym kraju, ale ponieważ są oni „clannish" (t. j. skłonni do tworzenia „klanów"), więc stopniowo przenoszą się z okolic wiejskich do miast, gdzie wszędzie istnieją polskie kluby. Liczba Polaków w hostelach, prowadzonych przez National Assistance Board, spada; wynosi ona obecnie 20.000 Polaków w 20 hostelach.

„Żaden z nich — podkreśla autor — nie zalega z płaceniem komornego. Bardzo korzystnie świadczy też o pracowitości i poczuciu własnej godności u Polaków fakt, że tylko paruset z nich utrzymywanych jest z funduszów dobroczynnych tego kraju i że są to przeważnie ludzie starzy i słabowici, którzy nie mają nikogo młodszego, kto by dbał o nich."

Artykuł stwierdza dalej, że większość Polaków żyje na stopie wyższej, niż dawniej u siebie w kraju, natomiast w ciężkiej sytuacji znalazła się inteligencja z wyjątkiem lekarzy i dentystów, którzy stworzyli sobie klientelę, obejmującą nie tylko Polaków. Proces naturalizacji jest powolny; jak dotąd przyjęło obywatelstwo brytyjskie około 10.000 Polaków.

„Choć Polacy coraz bardziej się asymilują — czytamy w zakończeniu artykułu — to nie tracą swej narodowej odrębności. Każdy Polak uważa za swój święty obowiązek pielęgnować ducha swej utraconej ojczyzny, bez względu na to, ile lat upłynie, nim Polska odzyska znów wolność."

GUST STOLICY I GUST PROWINCJONALNY

Dnia 25 sierpnia r. b. odbędzie się w ramach festiwalu edynburskiego prapremiera nowej sztuki T. S. Eliota: „The Confidential Clerk". Normalnie, zanim jakaś nowa sztuka teatralna pojawi się na deskach scenicznych Londynu czy Edynburga, „wypróbowywana" jest ona w miastach prowincjonalnych; chodzi o stwierdzenie, czy sztuka może liczyć na powodzenie u publiczności. W wypadku sztuki Eliota powodzenie jest z góry zapewnione, toteż „próby" takiej przejść ona nie potrzebuje.

O tym przyjętym od dawna zwyczaju „wypróbowywania" nowych sztuk teatralnych pisze krytyk teatralny „Sunday Timesa" Harold Hobson. Stwierdza on, że wedle coraz powszechniejszej w Londynie opinii, zwyczaj ten wcale nie wychodzi na dobre wypróbowywanym najpierw na prowincji utworom scenicznym, a nawet im szkodzi. Inni twierdzą, że smak artystyczny publiczności prowincjonalnej doprowadza do ruiny brytyjską sztukę dramatyczną i aktorską.

Hobson nie podziela tej opinii. Przyznaje on, że istnieją często znaczne różnice w reakcjach publiczności stołecznej i prowincjonalnej na tę samą sztukę. Nie zawsze jednak stolica ma rację. Wystawienie „Dwóch Panów z Werony" Szekspira przez bristolski Old Vic było rewelacją, a świeżo zespół teatralny, istniejący w Birminghamie, wystawił „Ardèle" znacznie lepiej, niż to zrobiono w Londynie. Świadczy to, że nie jest tak źle z poczuciem smaku na prowincji. „Być może nawet — zauważa Hobson — że publiczność prowincjonalna ma równie niską opinię o smaku londyńczyków, jak oni mają o smaku prowincji." Hobson z rozważań tych nie wyciąga żadnych praktycznych wniosków, toteż jak się zdaje dawny zwyczaj „wypróbowywania" sztuk kontynuowany będzie nadal.

DEMOGRAFIA OPTYMISTYCZNA

Colin Clark jest jednym z najgłośniejszych współczesnych ekonomistów i specjalizuje się w kwestiach demograficznych. Ostatnio, w przemówieniu radiowym, podjął on temat, który omówiliśmy w związku z książką uczonego brazylijskiego Josué de Castro p. t. „Geografia głodu".

Zaznaczmy z góry, że Colin Clark zalicza się, podobnie jak de Castro, do obozu optymistów, jeśli chodzi o perspektywy na przyszłość dla ludzkości. Zwalcza on obawy neo-maltuzjan, przede wszystkim na zasadzie argumentów ekonomicznych.

Stwierdza on więc, że znaczna część działalności gospodarczej nowoczesnej społeczności przemysłowej odbywa się według — jak to określa nauka ekonomi — prawa zwiększającego się przychodu. Dotyczy to działalności takich dziedzin, jak wielkiego przemysłu, transportu, komunikacji pocztowej, bankowości, zakładów ubezpieczeniowych itp. Im większa jest skala wykonywania tych usług, tym bardziej wzrastają oszczędności, tym koszty na jednostkę się zmniejszają. Wobec tego dla osób zaangażowanych w tego typu działalności gospodarczej zwiększająca się ludność oznacza zysk a nie stratę. Wielka i gęsto osiedlona ludność jest dla tego rodzaju produkcji nie tylko korzystna, ale w wielu wypadkach jest po prostu warunkiem, bez którego nie mogłaby istnieć.

Jednak, jak stwierdza Clark, prawo wzrastającego przychodu nie było znane ani Malthusowi ani innym ekonomistom jego pokolenia. Znali oni tylko prawo zmniejszającego się przychodu, którego zastosowalność mylnie uważali za uniwersalną, podczas gdy współcześni ekonomiści wyznaczają temu prawu znacznie węższe granice, mianowicie obserwują działanie jego tylko w obrębie rolnictwa, górnictwa i rzemiosła.

Clark zwraca też uwagę na mylne pojmowanie prawa zmniejszającego się przychodu. Wszakżeż według niego przychód z rolnictwa w większości krajów stale, z roku na rok, wzrasta. Prawo to oznacza tylko tyle, że jeżeli nie wkłada się w rolnictwo nowych kapitałów i jeśli nie stosuje się nowoczesnych, ulepszonych metod gospodarczych, przychód na głowę w gęsto zaludnionym kraju rolniczym będzie mniejszy niż w kraju mniej gęsto zaludnionym.

Prawo to nie ma nic wspólnego z jakimś fatalizmem, czy nieodwracalnością relacji między produkcją a ludnością. Kraje postępowe umieją sobie radzić w wypadku wzrastania ludności, a to właśnie przez intensyfikację rolnictwa, przez inwestowanie nowych kapitałów i ulepszanie metod gospodarowania. Clark przytacza konkretne przykłady. Otóż ludność rolnicza Danii w stosunku do jednostki ziemi uprawnej jest mniej więcej ta sama, co w Rosji, lecz produkcja na głowę ludności jest pięć razy większa w Danii. Gdyby chłop hinduski potrafił tak uprawiać ziemię pod uprawę ryżu, jak chłop włoski, gdyby umiał tak samo obchodzić się z bydłem, z drzewami owocowymi itd., jego przychód z uprawy roli, z hodowli i sadownictwa zwiększyłby się w dwójnasób. A przecież rolnictwo włoskie nie zalicza się do szczególnie postępowych.

W Holandii na jednostkę ziemi uprawnej przypada tylko jedna trzecia pracowników mniej niż w Indiach, lecz przychód z ziemi jest sześciokrotnie większy. Colin Clark, który jest w tej chwili dyrektorem Instytutu Badań w zakresie Ekonomii Rolnej w Oksfordzie i jest znakomitym statystykiem, chyba nie bez uzasadnienia wysuwa twierdzenie, że gdyby nadająca się do uprawy ziemia na całym świecie była zagospodarowana na poziomie holenderskim, a konsumpcja na głowę ludności również odpowiadała przeciętnej konsumpcji holenderskiej, która jest wcale pokaźna, starczyłoby pożywienia dla ludności w granicach 10 do 15 miliardów ludzi w porównaniu z obecnymi 2.3 miliarda. Obliczenie to nie bierze pod uwagę możliwości zastosowania dalszych ulepszeń technicznych i organizacyjnych w rolnictwie i znalezienia nowych źródeł producji żywnościowej (np. przez eksploatację pewnych substancji morskich).

Malthus i jego szkoła sugerują, jakoby skłonność ku powiększaniu się ludności była czymś stałym. Tymczasem szybkie tempo wzrostu ludności jest zjawiskiem w dotychczasowej historii ludzkości raczej rzadkim, gdy natomiast przewlekły stan zastoju ludnościowego albo nawet zmniejszania się ludności w okresach stosunkowo długich nie należał do rzadkości. Gdy jednak szuka się przyczyn tych zjawisk, nie znajdujemy ich w dziedzinie braku żywności czy raczej braku ziemi uprawnej. Przez wiele setek lat ludność Indii wynosiła na tym samym obszarze tylko jedną trzecią obecnej liczby. Odparcie tez maltuzjańskich znajdujemy już w pismach historyka arabskiego z XIV wieku, Ibn Chalduna, który wskazywał na chaos polityczny i na ucisk fizyczny, jako na przyczynę zmniejszania się liczby ludności.

Nawet obecnie, w świecie nowożytnym, którego ludność zwiększyła się w przeciągu stu lat w dwójnasób i jest większa niż kiedykolwiek przed tym, wypadki niezwykłej gęstości zaludnienia, jakkolwiek poważne, nie są jednak zjawiskiem nagminnym. Clark wymienia Indie, Pakistan, Indo-Chiny, wschodnią część Chin, Jawę, Egipt i niektóre kraje Środkowego Wschodu i Europy wschodniej, gdzie nacisk ludnościowy jest czynnikiem o charakterze w tej chwili ujemnym. Jeśli jednak chodzi o gęste zaludnienie krajów uprzemysłowionych, fakt ten nie budzi tam niepokoju, gdyż zaopatrzenie ludności w żywność z zagranicy uskuteczniane jest bez większych przeszkód na drodze wymiany za produkty przemysłowe.

Clark zwraca uwagę, że znaczne obszary ziemi, w warunkach klimatycznie dogodnych czy znośnych, nie są dotąd eksploatowane rolniczo. Europa, bez uwzględnienia Rosji Sowieckiej, posiada 1.400 tys. mil kwadratowych ziemi nadającej się do uprawy i większość jej ludności zaspakaja na tej podstawie swe potrzeby żywnościowe. Natomiast Ameryka Północna posiada 3 mil. mil kwadr. ziemi możliwej pod uprawę przy znacznie mniejszej ludności. Jeszcze większa dysproporcja między ludnością a ziemią uprawną istnieje w Afryce i w Ameryce Południowej, gdzie zapas ziemi wynosi po 6 milionów mil kwadratowych w każdym wypadku. Zdziwienie może budzić fakt, że wielkie obszary dobrej ziemi, nadającej się do eksploatacji rolniczej, znajdują się w Azji i są — niezaludnione. Clark wymienia tu Cejlon, Birmę, Sjam, Półwysep Malajski i Indonezję poza Jawą. Również w Chinach zachodnich znajdują się jakoby wielkie połacie ziemi niezaludnionej, wprawdzie na pół wyjałowionej, gdzie jednak rolnicy australijscy czy amerykańscy bez większych trudności mogliby gospodarować zyskownie. Wreszcie gleby w krajach tropikalnych, które wykazują niedostatek pewnych składników i wskutek tego nie nadają się do uprawy, mogą być — przy obecnym stanie nauk chemicznych — doprowadzone do odpowiedniej kondycji, umożliwiającej ich eksploatację.

Colin Clark, który nota bene jest katolikiem, sięga do historii, by wykazać, czym grozi stosowanie zasad świadomego ograniczania ludności, propagowanego przez Malthusa i jego następców i zwolenników.

Tezy Malthusa nie znalazły praktycznego echa w jego własnej ojczyźnie, w Anglii; przeciwnie, niesłychanie silny wzrost ludności postępował równolegle z procesem zwiększania się potęgi politycznej Anglii, pierwszego mocarstwa świata w XIX wieku. Natomiast Francja rewolucyjna, która, zdawałoby się, była predestynowana do zawładnięcia światem, uległa syrenim nawoływaniom pisarza angielskiego. Zalegalizowała rozwody i zaczęła staczać się po pochyłej w zakresie redukcji ludnościowej.

Okresy znacznego wzrostu ludności były i w historii innych narodów okresami ekspansji bądź politycznej bądź kulturalnej czy gospodarczej. Clark powołuje się na przykłady Grecji starożytnej, która przecież posiadała bardzo ograniczony zapas ziemi do uprawy, a jednak w siódmym czy szóstym wieku przed erą chrześcijańską przeszła przez proces silnego wzrostu ludności, stała się narodem kolonistów, żeglarzy, kupców, ale i narodem przodującym w twórczości duchowej, którego zasługi pod tym względem nie mają równych w historii kultury.

Clark przypomina też zjawiska świeższej daty, zaczerpnięte z historii Holandii i Japonii. Stosunek ludności do obszaru zamieszkałego nie jest wartością stałą. Kraj zacofany gospodarczo może wykazywać przeludnienie przy znacznie mniej gęstej ludności, niż kraj o bardziej zróżnicowanej i wszechstronniej ukształtowanej strukturze ekonomicznej. Toteż odpowiedzią na rzekome przeludnienie jest podjęcie akcji zmierzającej do uprzemysłowienia danego kraju. Zapewne, nie jest to droga łatwa zwłaszcza w początkowym okresie, ale ma tę zaletę, że prowadzi do celu.

Pod koniec swych wywodów Clark stawia pytanie, czy człowiek ma mieć pierwszeństwo przed potrzebami życia gospodarczego. Odpowiedź musi brzmieć, że gospodarka ma służyć człowiekowi, a nie odwrotnie. „Żaden przywódca polityczny, choćby najpotężniejszy, żaden ekonomista, bez względu na swą erudycję, nie ma najmniejszego prawa mieszać się do sprawy rodzenia dzieci. Przeciwnie — świętym prawem rodziców jest domaganie się od premierów i ekonomistów, by tak zorganizowali świat, ażeby dzieci miały jedzenia pod dostatkiem".

Jest to niewątpliwie punkt widzenia zgodny ze stanowiskiem Kościoła katolickiego.

Wystąpienie Clarka wywołało szereg protestów i krytyk, niekiedy zjadliwych, wśród ekonomistów. Zarzuca się mu lekkomyślność i pominięcie podstawowych zasad ekonomii w jego rozumowaniu. Koncepcja Clarka tchnie jednak świeżością i optymizmem, którego zaplątani w skomplikowanych teoriach i spoglądający przez „mędrca szkiełko" zawodowi czarnowidze nie mogą dostrzec.

M. Ch.

KABARET ARTYSTYCZNY

Aby dać wytchnienie swej satyryczno-dramatycznej muzie, Marian Hemar przerwał na okres kilku miesięcy działalność swojego zespołu teatralnego, inspirując Napoleona Sądka, aby się pokusił o zdobycie ostróg na londyńskiej scence polskiego kabaretu artystycznego.

Sądek próbował dotąd z powodzeniem filmu i dramatu, humoreski i powieści odcinkowej. Stanął obecnie w szranki bardzo trudnego rodzaju, w którym oprócz pazura dramatycznego trzeba umieć okazać nieprzeciętny humor i talent satyryczny, a także zdolności muzyczne i poczucie poezji. Zwłaszcza jeśli się wchodzi na scenę po mistrzu wymienionych gatunków literacko-muzycznych — Hemarze.

Sądek wszedł na scenkę „Białego Orła" oślepiony sławą Hemara i nie miał odwagi wyjść poza tradycję jego formy treści rewiowych. Dość niewolniczo naśladował humor, sentyment i satyrę Hemara, oczywiście nie dorównując jego klasie artystycznej i nie usiłując nawet sięgać do stratosfery satyry politycznej.

Nad Sądkową rewią p. n. „Tańcowały dwa Michały" unosił się duch Hemara, bardziej strasząc niż budząc natchnienie Napoleona Sądka. Stary lew odcinkowy powściągał wstydliwie pazury jak kot salonowy, byle nie spłoszyć wieloletniej tradycji, nie popsuć ustalonych smaków, nie zwichnąć równowagi przepisowych ingrediencji. Toteż wszystkie prawie punkty programu rewii odznaczały się jakby płochliwością, krótkim oddechem, nieśmiałością. Ledwie rozwinięte wątki rwały się, pośpieszne dążenie do puenty zabijało ciekawe pomysły, barwny motyl poezji rzadko tylko wyfruwał z poczwarki szkiców scenicznych. Sądek pisał teksty tej rewii z głową obróconą ku Hemarowi, z zezem w jego stronę.

Mimo tych zarzutów rewię Sądka trzeba uznać za wcale dobrą. Jej błędy w pewnym stopniu okazały się też zaletami: powściągliwość i powiedzmy otwarcie obawa Sądka przed zbytnim popuszczaniem cugli fantazji sprawiły, iż program rewii był czysty, zwięzły, nieprzegadany, możnaby powiedzieć: skromny. Program nie miał dłużyzn, sentymentalnych wdzięczków ni autorskiej kokieterii.

Dużą rolę powierzył Sądek, bardzo słusznie, piosence. Gwido Borucki w walcach francuskich pokazał, iż jego jasna gwiazda pieśniarza i akordeonisty nie blednie, przeciwnie nabiera głębszych tonów.

Obie pieśniarki, Janina Jasińska i Zofia Terne święciły tym razem triumfy raczej dramatyczne, niż muzyczne. Ani tekst ani melodie ich piosenek nie wyszły poza przeciętność. Zofia Terne ponadto wraz z Boruckim błysnęła w znakomicie opracowanej przez Polę Gobińską grotesce tanecznej „Tańcowały dwa Michały". Był to zdecydowanie najlepszy punkt programu — i choreograficznie i muzycznie i literacko.

Osobna uwaga należy się Ludwikowi Lawińskiemu. Posiadając wielki talent komiczny aktor ten wkłada w swe role niewyczerpaną żywotność, sam bawiąc się doskonale dobrym tekstem komicznym. Lawiński to żelazny filar polskiego kabaretu artystycznego.

Malicz i Zięciakiewicz w swych monologach i dialogach (zwłaszcza w bardzo dowcipnym „Royal performance") utrzymywali się na wysokim poziomie przedstawień hemarowskich. Oprawę muzyczną dał Jerzy Kropiwnicki, as swojej sztuki, ale jakby usposobiony do programu nieco bagatelizująco.

Jan Smosarski przygotował pierwszorzędne dekoracje.

J. B.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres Redakcji i administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9.34. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 12 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal albo Money orderam względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//) wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA miesięcznie 30 frs. kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowski, 101, Auguste Lambiotte, Bruxelles 3. FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „Libella" Libraire, 12, rue St Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 260 DM. Przedstawicielstwo: mają „Informacja Prasowa" (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2 i St. Mikiciuk, (13 B) München 54, Seehamerstr. 4. Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Angestan, Lund, Sverige, Sweden. — U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą $ 3, pocztą lotniczą $ 5. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 83 East 22-nd Street Bayonne, N. J. 2) Gryf Publications, 806 Wager st. Utica, 3) Baginski, 5050, Cass Avenue, Detroit 2 Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2.